



## Justyna Melonowska

Doktor filozofii, psycholog. Adiunkt w Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Członkini European Society of Women in Theological Research. Autorka monografii *Ordo amoris, amor ordinis. Emancypacja w konserwatyźmie* (2018) i *Osob(n)a: kobieta a personalizm Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Doktryna i rewizja* (2016). Obecnie na wydanie oczekują dwa zbiory jej rozpraw, esejów i polemik poświęconych problemowi religii i walki (*Pisma Machabejskie* i *Pisma Jakubowe*). Jej zainteresowania badawcze dotyczą filozofii osoby, rozumienia ortodoksji religijnej w katolicyzmie XX i XXI wieku, procesów emancypacyjnych, przyszłości i zmiernych Zachodu. Publikowała w „Więzi”, „Gazecie Wyborczej”, „Newsweeku”, „Kulturze Liberalnej”, „Tygodniku Powszechnym” i in. Od 2017 roku autorka pisma na rzecz ortodoksji „Christianitas”.

# Folwark rektorski

Słowa kluczowe: tolerancja, dyskryminacja, transseksualizm

Wyobraźmy sobie, że na którejś – polskiej czy niepolskiej – uczelni Jej Magnificencja wydała ukaz, zgodnie z którym zwracanie się do studentów transseksualistów zaimkami zgodnymi z ich płcią biologiczną jest formą dyskryminacji tychże studentów. Co, po zwalczeniu początkowego onieśmienia, moglibyśmy powiedzieć Magnificencji, włożywszy – rzecz jasna – stosowny wysiłek w wyrozumienie Jej stanowiska? Oto temat dzisiejszego felietonu.

Podstawowe pytanie brzmi, dlaczego w przypadku sprzeczności między faktami fizycznymi a deklaracjami odnoszącymi się do treści psychicznych dyskryminowane mają być fakty, a nie deklaracje. Kwestia ta ma zasadnicze znaczenie dla uniwersytetu, gdyż narzucane przez Magnificencję rozwiązania każe odrzucić wszystkie te stanowiska poznawcze (od przyrodniczych po filozoficzne), które się odwołują do szeroko rozumianego realizmu poznawczego. Jej Magnificencja nie tylko waży się tu rozstrzygać zaawansowane spory epistemologiczne, nieraz dające się rozstrzygnąć lekko, tak na przykład:

„Skąd mężczyzna może wiedzieć, jak to jest «czuć się» jak kobieta?». Zgodnie z twierdzeniami filozofa Thomasa Nagela nikt poza nietoperzem nie może odpowiedzieć na pytanie „Jak to jest być nietoperzem?” (R. T. Anderson, *Kiedy Harry stał się Sally, Warszawa 2021, s. 139. Oryginalne wydanie zostało poddane współczesnej wersji auto-da-fé*).

Magnificencja każe porzucić – na przykład – stanowisko tomistyczne i zająć pozycję – na przykład – nietzscheańskie

z ich wyakcentowaniem kwestii „woli mocy” (będącej przedmiotem różnorodnych interpretacji). Skądinąd „wola” to kategoria kluczowa (dziś może słabiej niż kiedy indziej odróżniana od chcenia, a nawet zachcianki) również w filozofii – wielce tu *à propos* – Antonia Gramsciego. Jego stronnicy są za swym mistrzem przekonani, że problemem słuszności danej idei jest fakt jej historycznego zwycięstwa; że historia to *praxis*, a więc wola; że natura ludzka nie istnieje, a wszelkie pojęcia odnoszą się nie do rzeczy, ale do stosunków między interlokutorami.

Nie powinno mieć znaczenia, czy Jej Magnificencja stoi na którymś z tych, czy jakimś innym stanowisku filozoficznym bądź – szerzej – teoretycznym. Nie ma bowiem żadnego ugruntowanego w prawie i kulturze uniwersyteckiej przejścia między stanowiskiem teoretycznym a stanowiskiem w sensie administracyjnym. Jedyne „miejsce”, w którym kwestie te się łączą, to „teoria uniwersytetu”, wedle której rektor zarządza powierzoną swej pieczy uczelnią. Od lat jednak obserwujemy zatrważający fakt, że kandydaci i kandydatki na ten urząd nie są odpytani przez daną społeczność ze swej „filozofii uniwersytetu”. Czas to zmienić i na sobie powierzonym obszarze odpowiedzialności uniwersyteckiej pisząca te słowa zamierza to w przyszłości czynić, czyli o kwestie te wnikliwie pytać.

Póki co jednak można i trzeba z mocą podkreślić, że stanowisko zajmowane przez rektora w dowolnej kwestii dotyczącej relacji „teoria – uniwersytecka *praxis*” musi być uargumentowane i odwołujące się do jakiejś teorii wypracowanej w środowisku akademickim (nie może to być zatem, dajmy na to, dziedziną gnozy osobistej czy towarzyskiej, dyskursu medialnego, działalności politycznej, a nawet zwykłej opinii). Jednak samo jej posiadanie (tj. posiadanie określonych przekonań) nie czyni rektora kimś na wzór właściciela folwarku, na którym pracują naukowcy-najmici. O tyle, o ile jest on zdolny do zajęcia stanowiska teoretycznego i argumentowania na jego rzecz, staje się on – tylko i aż – uczestnikiem życia uczelnianego, a zatem potwierdza posiadanie elementarnych prerogatyw intelektualnych, pozaadministracyjnych, do zawiadowania społecznością ludzi, których jedynym rzemiosłem winny być wiedza i debata. Zdolność argumentowania daje rektorowi warunkowy przywilej kierowania działaniem uczelni. Żaden jednak rektor i w żadnych okolicznościach nie ma prawa przymuszać żadnego pracownika nauki do przyjęcia jego stanowiska teoretycznego, jego „filozofii”, a nawet jego argumentów. Pracownik może bowiem być przekonany, że dysponuje lepszymi argumentami i teoriami. Kwestii tej nie reguluje również głos większości – w sytuacji, gdy większość pracowników byłaby przekonana o słuszności stanowiska teoretycznego zajmowanego przez rektora. Żaden pracownik naukowy w żadnych okolicznościach nie traci prawa do obstawiania przy swej teorii tak długo, jak długo jest ona uniwersytecko zakorzeniona, ugruntowana w tradycji badawczej. Twierdzenie to jest ważne dla nauk humanistycznych i całej, naukowej refleksji o człowieku, mówiąc wprost, dla wszystkiego, w czym da się prześledzić aspekt filozoficzny.

Egzekwowanie przez rektora posłuszeństwa lub uległości wobec jego własnych przekonań jest pozaprawne i powinno być ścigane oraz karane z całą surowością. Skutkować winno postawieniem takiego rektora w stan, by tak powiedzieć, przytomności prawnej –

raz na mocy wewnętrznych regulacji uczelni (postępowanie wyjaśniające i dyscyplinarne, czyli te, którymi się obecnie nęka pracowników podejrzewanych o posiadanie innych poglądów i wyznawanie innych ideologii niżli emancypacyjne), dwa na mocy prawa krajowego (narodowego). Nękanie w ten sposób pracownik zachowuje również prawo do strajku, z którego – jeśli istotnie jest sługą idei uniwersyteckiej i prawdy – wnień w określonych warunkach odważyć się korzystać. Należy bowiem pamiętać, że ten, kto próbuje przejąć kontrolę nad aktami naszej mowy – poza zwykłą dziedzina uprzejmości, zgrabności językowej i piękna, wychowanie czego jednak, znów, nie jest zadaniem rektora – pragnie zawładnąć naszym umysłem. Dlatego też każda rewolucja i każdy totalitaryzm wypracowuje jakąś nowomowę strzegącą nowego *credo*. Rektor w opisanym przypadku pragnie narzucić swe wyznawanie, swą wiarę, swą ortodoksję. Pragnie stłumić idee i pojęcia wyrażone w jednym języku przez narzucenie języka konkurencyjnego, antynomicznego i paradoksalnego. Mowa tu zatem nie tylko o pospolitej dyskryminacji (zarazem niedopuszczalnej i karalnej), ale też o autentycznym zniewoleniu mowy i umysłu drugiego człowieka, którego szczególnym powołaniem jest wolność i odpowiedzialność, a także bycie – na ile to możliwe – osobowym wzorem człowieka zarazem wolnego i odpowiedzialnego. Otwiera się tu zatem nie dziedzina praw (osławionych „mniejszości seksualnych”), lecz powinności (wsławionych mężów nauki). Należy się oswajać z myślą, że realizacja tejże powinności będzie musiała w latach nadchodzących przyjmować formy proporcjonalnie radykalne do działań Ich Magnificencji. Jak rektor adiunktowi, tak adiunkt...

Nie od rzeczy będzie też wspomnieć, że wzmiankowany rektor wymusza na pracowniku naukowym co najmniej ignorowanie prawnego wymiaru sytuacji, jako że nauczyciel akademicki ma obowiązek respektować dane zawarte w *dossier* dostarczonej mu przez uczelnię. A zatem jeśli na liście obecności jest Julia, nie Jakub, to nauczyciel musi się zwracać do Julii, nie do Jakuba, obecność tej

studentki potwierdzić tak podczas odczytywania listy obecności, jak podczas prowadzenia zajęć i – w końcu – wystawiania oceny. Żadnego Jakuba bowiem, po prostu, na zajęciach nie ma. Zwrot imienny ma też charakter tożsamościowy i wskazujący, jest zatem czym innym niż zwracanie się do kogoś – dla przykładu – zwrótami pieśzchotliwymi („kotku”, „gołąbeczko”, „kochaneńki” itp.), dla których zresztą sala wykładowa nie byłaby miejscem stosownym. Zauważmy też ciekawy paradoks: oto rektor-urzędnik stosowanie się do procedur urzędowych i prawnych nazywa „dyskryminacją”, a zatem potępia owe reguły, które mają stanowić podstawę jego działalności, i w związku z tym zajmuje pozycję na poły anarchistyczne. Nadto gdyby na mocy swych prerogatyw próbował uzyskać w sekretariacie sporządzenie list uwzględniających roszczenia osób transseksualnych, wówczas dokonałby oczywistego fałszerstwa. Miast tego wymusza więc na pracownikach uczelni, by ci zafalszowali swą świadomość. Tymczasem w podobnej sytuacji – jeśli istotnie respektowanie faktów uważa za dyskryminacyjne – powinien złożyć urząd. Powtórzmy zatem, że stwierdzenie czego innego, niż podaje dokumentacja, jest po prostu poświadczaniem nieprawdy, a to w dziedzinie administracyjnej, biurokratycznej i prawnej może nieść ze sobą konsekwencje. Zaznaczam to zresztą ku obronie nie tylko przed ideologiczną pazernością rektorów, ale i studentów. Dziedzina prawna jeszcze nie całkiem Gramscim stoi – przekleństwo to dla jednych, ocalenie dla drugich. ■

Najnowszy numer



Tu nas znajdziesz

